

---

STANISŁAW FUDALI

**GASNĄCE MRZONKI I WSCHODZĄCE  
MGLISTE NADZIEJE.  
(WSPOMNIENIA ÓWCZESNEGO MAŁOLATA)**

Jesień w 1942 roku na kazachskich stepach i w syberyjskich tajgach przyszła jak zwykle – w połowie września. Opustoszały kolchozowe pola, poszarzał step a lasy przyoblekły się w rdzawo-żółte listowie; z dnia na dzień w przyrodzie robiło się coraz smutniej. Jeszcze smutniej było w sercach i duszach polskich zesłańców, wszystkim tym, którym nie udało się opuścić ZSRR z Armią Andersa. Dopóki ta armia była, choć vegetująca w środkowo-azjatyckich półpustyniach, istniały nie iskiere nadziei, lecz głębokie przekonanie, że rząd polski na obczyźnie poprzez swoją ambasadę w Kujbyszewie (obecnie Samara) wyekspeduje nas wszystkich z „gościnniej” ziemi radzieckiej do może niezbyt gościnniej, ale normalnie ludzkiej ziemi perskiej, irackiej czy indyjskiej. Nie wyobrażaliśmy sobie, że może być inaczej – przecież to **nasz polski rząd!** – chodzi tylko o czas i kolejność przy ewakuacji; pozostawienie nas przez polski rząd na Sybirze, pod „opieką” NKWD, było zupełnie niewyobrażalne, niemożliwe w naszym przeświadczeniu. Ewakuację Armii do Persji w sierpniu 1942 r., wraz z pokaźną liczbą osób cywilnych uważaliśmy za początek końca naszej sybirskiej gehenny i niecierpliwie oczekiwali na wiadomość o terminie wyjazdu; od podania tego terminu zależało, czy trzeba szykować się do kolejnej zimy, już trzeciej. Chodziło przede wszystkim o robienie zapasu opału – drewna i „kiziaków”.<sup>1</sup>

Smutek tej jesieni zapowiadały już w lecie nie do końca zrozumiałe posunięcia władz, zarówno radzieckich jak i polskich. Oto co 22 sierpnia 1942 r. z Kustanaja do mojej matki<sup>2</sup> pisała p. Wanda Szczerbian, która

---

<sup>1</sup> *Kiziak* (nazwa regionalna, oryginalna) – materiał opałowy stosowany w bezleśnych regionach, wytwarzany z odchodów krowich lub wielbłądzich, zmieszanych i udeptanych ze słomą; warstwę grubości ok. 5-8 cm tnie się na kwadraty i suszy na słońcu; tłą się raczej bez płomienia, dając stosunkowo dużo ciepła.

<sup>2</sup> Przebywaliśmy wtedy w Kazachstanie, we wsi Presnoreduta, presnogorkowskiego rajonu, kustanajskiej oblasti.

odważyła się z presnogorkowskiego *rajonu* wyruszyć do kustanajskiej Delegatury ambasady polskiej w nadziei, że uda się jej wyjechać na południe, do środkowo-azjatyckich republik radzieckich: *tu w Kustanaju żyje się tylko nerwami w ciągłej rozterce. [...] Kochana Pani! Wiadomość jakoby zostały rozwiązane wszystkie Delegatury na terenie ZSRR i, że wszyscy Polacy mają iść do kolchozów jest fałszywa jak wiele innych wiadomości. Owszem, na rozporządzenie władz polskich zostało rozwiązanych kilka placówek polskich, ale Polaków nigdzie nie wysyłają ani zabierają do kolchozów. Odwrotnie, z Kustanaja co kilka dni wyjeżdża po kilka rodzin na południe, np. 20/VIII wyjechało 36 rodzin, z Kustanaja i poszczególnych posiołków. Ostatnio rejestrowano rodziny wojskowe i wiele innych również na wyjazd. Z tą listą rodzin wyjechał do Jangi-Jul p. por. Szczepaniak, skąd przyśle trebowanie. [...] Władze nasze zapewniają nas, że wszyscy pojedziemy „etapami” – inaczej nie mogą nas zabrać. Proszę też pisać prośbę do Dowódcy Sił Zbrojnych w Jangi-Jul z prośbą o przysłanie zapotrzebowania. Ja pisałam taką prośbę, którą złożyłam na ręce jednego z p. oficerów, który przyjechał po swoją rodzinę (sędziego z Brodów). Obiecał solennie, że mi to załatwi. [...] My, a raczej ja siedzę tu jeszcze nie zameldowana; o ile nie wyjadę na południe, przeniosę się do pobliskiego kolchozu. Życie w Kustanaju bez pomocy Delegatury, bez stołówki, jest niemożliwe. Najgorsza bolączka to drzewo – 1 m. 1500 rub., litr mleka 30, a co najważniejsze, że w żadnym wypadku nie meldują. Rodziny wojsk. stałych pensji już otrzymywać nie będą – tylko pomoc doraźną. [...] My tu w Kustanaju nie tracimy wiary, pewni, że już niedługo, a skończy się nasza niedola. ... To ostatnie zacytowane zdanie tego listu nie było nawet pobożnym życzeniem, ani „ku pokrzepieniu serc”, ale banalnym samopocieszeniem, do którego absolutnie nikt nie przywiązywał najmniejszej uwagi, bo na skończenie naszej niedoli nie zanosilo się, co każdy z nas czuł, choć o przyczynach tego nie wiedział.*

A jeszcze niedawno, parę miesięcy temu, nastrój wśród zesłańców był zgoła inny, diametralnie przeciwny do obecnego. Przepojeni byliśmy nadzieją, i wiele na to wskazywało, że istnieje realna szansa pożegnania na zawsze nieprzyjaznej nam przyrody i wyraźnie nieprzychylnych władz, nie tylko nam, ale i swoim obywatelom. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że o powrocie w rodzinne strony w obecnej wojennej sytuacji nie może być mowy, ale łudziliśmy się wydostać z ZSRR przez Persję, okupowaną wtedy przez Wk. Brytanię i ZSRR. W porze wiosennych roztopów, 19 kwietnia 1942 r., pisała p. Anda z Kabani<sup>3</sup> do mojej matki: *[...] dzisiaj pani Bobrowiczowa dostała list od syna, pisze, że my wszyscy wyjedziemy do Persji bez żadnego wyjątku. Pisze, że już by byli nas transportowali, gdyby nie mokro i te błota; czekają, jak tylko będzie tro-*

<sup>3</sup> Nazwiska p. Andy nie znam, a Kabań – to nazwa wioski w presnogorkowskim rejonie.

chę sucho, to nas zaraz będą zabierać. [...] Wydawało się wtedy, że lada moment, a nie będzie tutaj nas.

Pod koniec września zamiast spodziewanego sygnału do wyjazdu zaczęły w stepy i tajgi przenikać przygnębiające wieści: Armia polska w ZSRR już nie istnieje, cywilna ludność z obozów przy Armii, ta, co z wojskiem nie wyszła,<sup>4</sup> jest rozmieszczana po kirgizkich, uzbeckich i turkmeńskich kolchozach i sowchozach (mimo że przed miesiącem takim „plotkom” nie dawano wiary), obwodowe delegatury ambasady polskiej o wyjeździe niczego nie mówią, bo nie wiedzą, strużka rozprowadzanych przez nie tzw. „darów amerykańskich” coraz mocniej wysychała. Pani Wanda na południe nie wyjechała i do pobliskiego kolchozu się nie przeniósła, a 17 października 1942 napisała do Mamy: [...] *Ewakuacja rodzin na południe zakończona. Będą wyjeżdżały jeszcze niektóre rodziny na indywidualne przepustki, czyli wezwania...*<sup>5</sup> **Wygasty mrzonki** o porzuceniu tego piekielnego radzieckiego rajku, **zgasły nadzieje!** Nowo mianowany ambasador w ZSRR, Tadeusz Romer, w swoim noworocznym orędziu<sup>6</sup> do amnestionowanych polskich zesłańców był dość powściągliwy co do perspektywy opuszczenia ZSRR. Był sam środek zauralskiej zimy, ale po takich wieściach powiało jeszcze większym chłodem.

Radykalnie osłabło podróżowanie polskich zesłańców po bezmiarach „sowieckoj rodziny” nie tylko z powodu niesprzyjającej temu pory roku, ale i utrudnień władz, coraz częściej nie respektujących, lub wyraźnie lekceważących, dane nam przez nie świstki o amnestionowaniu, uprawniające do poruszania się po całym terytorium ZSRR. Nasze nadzieje na rychłe opuszczenie „rajku rad” w miarę upływu czasu, w którym nie działało się nic, co przybliżałoby to nasze marzenie, stawały się coraz mniej ziszczalnymi mrzonkami, a i te na przedwiośniu 1943 r., gdy dokuczał nie tylko chłód, ten metaforyczny i ten fizyczny, ale i autentyczny głód, powoli rozpląwały się w nicość. Przestaliśmy marzyć o wyjeździe – trzeba było wziąć się za bary z rzeczywistością i zajadle walczyć o przeżycie. Głód chwycił za gardło niemal każdą zesłańczą rodzinę, ale i miejscowych też. Gasła wszelka nadzieja.

Ostatecznie mrzonki o wyjeździe do Persji czy Indii zagasty pod koniec kwietnia 1943 r., gdy odebrano nam świstki o amnestionowaniu i

<sup>4</sup> Zesłańcy po „amnestii”, jeżeli tylko byli w stanie, jechali na południe do środkowo-azjatyckich republik radzieckich, w pobliże miejsc rozlokowania Armii Polskiej, aby czuć się bezpieczniej i korzystać z jej opieki.

<sup>5</sup> Dalszych losów p. Wandy Szczerbian nie znam.

<sup>6</sup> Przesłanym telegraficznie do Delegatury Ambasady, skąd pocztą rozesłano jego zakończenie: „*Chociaż w tym roku ku wielkiemu ubolewaniu nie będziemy mogli spędzić Święta Bożego Narodzenia w gronie rodzinnym, w ten święty wigilijny wieczór łączę się sercem z każdą polską rodziną i z każdym Polakiem, wszystkim życzę szczęścia i wolności dla naszej ojczyzny, i – w nadziei, że prędzej niż minie nadchodzący rok – śle serdeczne pozdrowienia.*”

wręczono radzieckie *pasporty* z ważnością na 5 lat, do roku 1948. Tym razem nikt terminu tego nie wiązał z terminem zesłania, jak w roku 1940, bo trwała wojna i sytuacja z dnia na dzień mogła się radykalnie zmienić; Niemcy dostały porządnego łupnia pod Stalingradem, Wielka Brytania mimo amerykańskiego wsparcia robiła bokami, a Stany Zjednoczone były daleko i swoją wojenną obecność w Europie ograniczały do pompowania w nią przestarzałej broni w ramach *land lease*. Nikt nie wiedział, czym ta zabawa skończy się dla nas. Ostatnie posunięcie władz radzieckich, czyniące z nas pełnoprawnych obywateli ZSRR, dobiło nas moralnie – cywilnie byliśmy uśmierceni. Mimo wiosny w przyrodzie, w naszych duszach zapanowała polarna noc. Czarna rozpacz ogarnęła nas znowu, jak przed trzema laty, gdy rozpraszeni byliśmy po „niehumanitarnej ziemi”.

Niemal równocześnie z tymi tragicznymi dla nas wydarzeniami, poniosła się niezrozumiała wieść: powstał w Moskwie Związek Patriotów Polskich i będzie organizować nową armię polską, która nie wyjdzie z ZSRR, ale u boku Czerwonej Armii będzie bić się z Niemcami, by wyzwolić Polskę od niemieckiego okupanta. Słuchaliśmy tego z niedowierzaniem i nie przywiązywaliśmy wagi: skąd w Moskwie wzięli się polscy patrioci? – przecież takich zapędzono do obozów i więzień, a po „amnestii”, ci, co wyszli z łagrów i nie zdążyli do Andersa, błąkają się teraz po bezmiernych zauralskich połaciach w poszukiwaniu swoich wywiezionych rodzin. Jakoś trudno było przyjąć za możliwe, aby polski żołnierz, któremu w 1939 wbito nóż w plecy, a potem poniewierano w więzieniach i łagrach, zdobył się na braterstwo broni z czerwonoarmistą, co ten nóż w plecy mu wbijał. Bez większego więc zainteresowania, a nawet z całkowitą obojętnością przyjęliśmy do wiadomości zupełnie nieklarowny fakt powstania ZPP – *Znowu rozsiewają złudzenia!* – i wrzuszaliśmy wymownie ramionami, tym bardziej, że nie było przy tym mowy o naszych dalszych losach – czy ktoś ulży naszej doli, jak i kiedy? A przed nami stały sprawy bardziej ważne i bardziej realne: trzeba się było zmagać z brutalną rzeczywistością.

Gdy w lecie zaczęto poprzez *wojenkomaty* powoływać starszych chłopaków do polskiego wojska, a więc realizować zapowiedź, i w miejsce wydawanej w Kujbyszewie gazety *Polska* zaczęła do nas docierać wydawana w Moskwie *Wolna Polska*, o zabarwieniu wyraźnie proradzieckim, zwróciliśmy nieco uwagi na nowopowstały Związek Patriotów Polskich – tyle, na ile pozwalały zmagania o przeżycie. Na jego czele stała Wanda Wasilewska, powieściopisarka, ale to nazwisko niczego nam, małolatom, nie mówiło. Naszym matkom też mówiło niewiele, bo w ich środowisku popularność Wasilewskiej, autorki *Ojczyzny* (wyd. w 1935 r.), była raczej nikła. Nazwiska pozostałych założycieli: Berling, Lampe, Zawadzki – też nikomu nie były znane. Dopiero późną jesienią, gdy polska dywizja wykrwawiła się pod Lenino (12-13.X.1943) na Smoleńszczyźnie, doszło do nas, że dowódcą tej dywizji był pułkownik Zygmunt Berling, niegdyś legionista.

Pół roku później, na przedwiośniu 1944, gdy już nie było co do ust włożyć, a żadne zielsko spod zalegającego step śniegu jeszcze nie wylażło, i niczego do jedzenia ukraść się nie udawało, postanowiłem pójść do polskiego wojska, pod radziecką komendę, mimo że Sowietci zaraz po wkroczeniu w 1939 zamordowali mi Ojca. Podczas narady rodzinnej Matka westchnęła: – *Spróbuj, może chociaż ty się uratujesz!* – nasz byt był bowiem śmiertelnie zagrożony. Napisałem więc podanie o przyjęcie do polskiego wojska. Nie, aby zostać bohaterem bądź zrobić karierę wojskową. Miałem wtedy 14 i ½ lat, i nie chciałem cierpieć męki powolnego zdychania z głodu – *Na froncie trafi mnie kulka lub nie, a przynajmniej dostanę coś zjeść!* – rozumowałem prymitywnie. Czekałem na odpowiedź, a gdy nie nadchodziła, zaś śnieg ze stepu zlażł i na kolchozowych polach rozpoczęto prace, zamiast do wojska poszedłem na *пахню* orać, bo tam 3 razy dziennie dawali chochlę *bołuszki*. W połowie maja 1944 r. otrzymałem odpowiedź z wojska. Negatywną – byłem za młody. Nie dane mi było zostać bohaterem! Nie żałowałem tego – choć zamiast oczekiwanej wojskowej grochówki<sup>7</sup> musiałem zadowalać się kolchozową bołuszką.

Odmowna treść odpowiedzi nie poruszyła mnie tyle, co nazwisko podpisującego to pismo: kpt. Marian Naszkowski – przywódca stanisławowskiej grupy komunistycznej, którego w 1938 roku za działalność przeciwko Państwu Polskiemu mój Ojciec, sędzia Sądu Okręgowego w Stanisławowie, skazał na 8 lat więzienia; za to Ojca w listopadzie 1939 roku skazano na rozstrzelanie a 10 grudnia zamordowano. Ten podpis uświadomił mi charakter tego wojska polskiego, i już nie żałowałem, że mnie do niego nie przyjęto. Więcej, nabrałem przekonania, że po skumanii się komunistów polskich z radzieckimi nie mamy co marzyć o powrocie w rodzinne strony, do „swoich”. Być może rodzinom tych, co poszli do „kościuszkowskiego” wojska<sup>8</sup> i nie zginą na froncie, pozwolą wrócić, ale innym – nie; a właśnie należeliśmy do tych „innych”. Od lata 1944 r. straciliśmy wszelką nadzieję, że kiedykolwiek opuścimy miejsce zesłania. W jesieni tegoż roku rodzinom „kościuszkowskich” żołnierzy pozwolono wyjechać na Ukrainę (gdzie też łatwo nie mieli), a o nas nawet pies z kulawą nogą nie pomyślał; tak wówczas sądziliśmy. Najlepszą strategią w takim wypadku było dostosować się do realnych warunków, nie łudzić siebie, że „w jesieni nas stąd zabiorą, a na pewno na wiosnę”, co dotychczas było pocieszającym sloganem, ale stać się jednym z „tutejszych”. Matka moja nie umiała pogodzić się z taką strategią, ciągle wierzyła w „cud”, modliła się oń, ale przyjąć ją musiała; innego wyjścia nie było. Ja natomiast „cud” powrotu traktowałem sceptycznie, bo musiałem

<sup>7</sup> Dopiero grubo po wojnie dowiedziałem się, że w tym czasie w I Armii Polskiej w ZSRR grochówka była nieziszczalnym marzeniem; najczęściej zastępowała ją „zupa” z brukwi.

<sup>8</sup> I Dywizja Polskiej Armii w ZSRR utworzona w r. 1943 nosiła imię Tadeusza Kościuszki.

wziąć się za bary z brutalną codzienną rzeczywistością – miałem już prawie 15 lat i czułem się w obowiązku wesprzeć schorowaną matkę w zdobywaniu środków do życia, ośmioletni wówczas młodszy brat nie mógł tego zrobić. Rozumowałem wówczas stosunkowo prosto: *skoro mam pozostać tu na zawsze, to im prędzej stanę się „tutejszym”, tym lepiej dla mnie*; nie zamierzałem się zruszczyć, a jedynie żyć w realnym świecie i otoczeniu, dostosowując się do istniejących warunków. W jakimś stopniu udało mi się to, i może dzięki temu przetrwałem w nienajgorszej kondycji.

W maju 1945 zakończyła się wojna, konferencja w Poczdamie potwierdziła prawa Stalina do Europy Wschodniej i uwolniła Aliantów od zwracania sobie głowy Polską i Polakami, pozwalając im „umyć ręce” w „sprawie polskiej”. Przez jakiś czas żywiliśmy jeszcze jakąś nikłą nadzieją, że ktoś w Europie o nas się upomni, ale mijały tygodnie i miesiące, i nic w tym zakresie się nie działo. Polski rząd w wyzwolonym Kraju zajęty był „utrwalaniem” swojej władzy „ludowej”, emigracyjny w Londynie kombinował jak się umocnić w warszawskim Rządzie Tymczasowym, Francja i Anglia o swoich przedwojennych zobowiązaniach wobec Polski nie puszczały pary z ust, a generalissimus Stalin zacierał ręce, zadowolony z wygrania wojny i wyprowadzenia w pole niedawnych sojuszników. W „*Wolnej Polsce*”, kolportowanej wśród Polaków rozsiadanych w bezmiarze „bratniego” kraju, pisano o przemianach w wyzwolonej Ojczyźnie, powiększonej o Ziemię Zachodnią i zubożonej o Kresy Wschodnie, a o naszym losie nikt nie wspominał; coraz bardziej umacniało się w nas przekonanie: **spisano nas na straty!** 27 maja 1945 r. dość minorowo, acz nie rozpaczliwie, pisałem do Cioci w Brzesku<sup>9</sup> m.i. *Ja pracuję w polu, ażeby zarobić trochę zboża na zimę, bo na ewakuację nie ma na razie nadziei. [...] Przez zimę myśleliśmy, że na wiosnę wyreewakujemy się z Sybiru, tymczasem nie stało się tak. Kazali sadzić nam kartofle i pracować jak dotychczas. Więc posłusznie wypełniamy to przykazanie, bo nie jesteśmy w stanie protestować. [...] bardzo proszę napisać do nas parę słów nadziei i pociechy, ażeby mamę trochę podnieść na duchu, bo ona całkiem przygasała, jak przyszło się sadzić kartofle, bo całą zimę żyła mamą tą jedynie nadzieją, że na wiosnę wyjedziemy z tego letniska, gdyż ono nie bardzo dodatnio wpływa na zdrowie mamy.*

Na początku 1946 roku, kiedy już mi do szczętu spopieliała myśl o powrocie, znów po stepach i tajgach gruchnęła wieść: **Wracamy!** – wielokrotnie już głoszona, a nigdy dotychczas nie spełniona; trudno mi było w nią uwierzyć, ale wielu uwierzyło, i tym razem nie zawiodło się – **wróciliśmy!** Inicjatorem tego powrotu, a może tylko jego współinicjatorem, był Związek Patriotów Polskich, nie doceniany przez nas wówczas jako

<sup>9</sup> Ciocia, Janina Dziedziniewiczowa, listu tego nigdy nie otrzymała, bo wrócił on do mnie 20 VIII 1945 (data na stemplu pocztowym) z dopiskiem: *Согласно инструкции по обработке М.Ж.Д. кор-ций*, czego znaczenia nigdy niezrozumiałem.

ten, co może odmienić nasz los; *chwala mu za to!* ZPP podjął się też trudu organizacyjnego całego tego przedsięwzięcia i za to należą się mu osobne dzięki, bo trud to był niemały. Oto ocalały fragment instrukcji dotyczącej naszego powrotu, opracowanej przez ten Związek dla Kustanajskiej obłasti.<sup>10</sup>

I. Pełnomocnik Polskiej Delegacji w Radziecko-Polskiej Komisji Mieszanej do Spraw Ewakuacji Kustanajskiego Obwodu w pracy swojej opiera się o Zarządy Rejonowe, Koła Lokalne i aktyw ZPP.

III. Repatrianci przed wyjazdem otrzymują zaświadczenia uprawniające ich do wyjazdu do Polski.

Zaświadczenia będą wystawiane w dwóch językach, polskim i rosyjskim, na specjalnych formularzach wydawanych przez Polsko-Radziecką Komisję Mieszaną.

IV. Repatrianci ponoszą koszty wyżywienia sami. Żywność dostarczą odpowiednie organizacje radzieckie po cenach państwowych.

Repatrianci nie ponoszą kosztów transportu i opieki lekarskiej. Zabrania się pobierania jakichkolwiek opłat na ewakuację.

V Zaświadczenie podpisane przez pełnomocników obu Delegacji zostaną przekazane tym urzędom milicji, które od danych osób przyjmowały podania. Milicja będzie wydawać zaświadczenia nie wcześniej niż na 10 dni przed wyjazdem transportu, przy czym tylko repatriantom, którzy jadą tymi transportami.

Repatrianci do granicy zachowują radziecki paszport względnie zaświadczenie zastępujące paszport. Repatrianci nie mający takich dokumentów, winni zaopatrzyć się w fotografię dowolnego formatu, która pozwoli stwierdzić ich tożsamość. Fotografia zostanie naklejona na odwrocie rosyjskiej strony zaświadczenia ewakuacyjnego. Na granicy organa kontrolujące odbiorą repatriantom rosyjską (lewą) stronę zaświadczenia ewakuacyjnego i paszport radziecki. Repatrianci zachowują polski tekst zaświadczenia ewakuacyjnego.

Zarządy Rejonowe i Koła Lokalne ZPP winny zawiadomić repatriantów przed wyjazdem o tej procedurze. Należy z naciskiem podkreślić konieczność zachowania do granicy paszportu, względnie zaświadczenia zastępującego paszport (ewentualnie fotografii). Bez nich bowiem przejazd przez granicę jest niemożliwy.

VI. Strona radziecka wyznacza kierownika transportu, obywatela radzieckiego, który odprowadza transport do granicy. Pełnomocnik Polskiej Delegacji Kustanajskiego Obwodu wybiera zastępcę kierownika transportu spośród repatriantów, człowieka energicznego, cieszącego się bezwzględnym zaufaniem i autorytetem wśród wyjeżdżających.

VII. Pieniądze ponad 1000 rubli (złoty) na osobę repatrianci składać będą za pokwitowaniem w specjalnych granicznych Kasach Banku Pań-

Na tym zachowana część tej **Instrukcji** się kończy.

W ciągu paru tygodni, w miarę jak pozwalały warunki klimatyczne (roztopy wiosenne i nie przejezdność dróg), ściągnięto zesłańców do punktów zbornych, załadowano do wagonów (też bydłęcych<sup>11</sup> jak w 1940 r.), i

<sup>10</sup> Oryginał tego fragmentu, ze względu na fatalny stan techniczny, nie nadaje się do reprodukcji.

<sup>11</sup> Teraz jednak nie sarkaliśmy na bydłęce, a raczej: spartańskie, warunki, i nawet ich nie dostrzegali; byliśmy radzi, że jedziemy: „do swoich”.

powieziono na zachód. Mieliśmy nieśmiałą nadzieję, że po 2 tygodniach jazdy będziemy wśród swoich, na rodzinnej ziemi, tymczasem po dwóch tygodniach byliśmy ze swoimi, ale nie „swoimi”, stłoczeni w transportach w Brześciu nad Bugiem i po tygodniowym postoju przekroczyli granicę państwową; po raz pierwszy w życiu – w 1939 granica przekroczyła nas. Po następnych 2 tygodniach byliśmy już, po 6 latach rozstania, w rodzinnym gronie. Zakończyła się nasza Odyseja zesłańcza. – *Dzięki łaskawości Matki Bożej* – stwierdziła nasza Matka – *Wróciliśmy*. Figlem Historii jest, że wyprawili nas na tę Odyseję komuniści radzieccy, a zabrali z niej – polscy, zaś tajemnicą — to, że do okazania swej łaskawości Matka Boża posłużyła się komunistami różnej maści. Zaludnialiśmy ziemie opuszczone (wcale nie dobrowolnie) przez Niemców.

W taki sposób dokonał się wers patriotycznej pieśni z okresu walki o niepodległość:

*Z trudu naszego i znoju, Polska (choć Ludowa) powstała by żyć.*

\*

Związek Polskich Patriotów, choć był fasadowym ugrupowaniem, przyczynił się do dwóch znamienych dla Polaków dokonań:

1. Utworzenie Armii Polskiej w ZSRR, która obok Armii Czerwonej walczyła z hitlerowskimi Niemcami na ziemiach polskich i niemieckich, co niewątpliwie miało pewien wpływ na ustalenie zachodnich i północnych granic powojennej Polski, i

2. ewakuacja do kraju Polaków wywiezionych w czasie wojny w głąb ZSRR.

Gdyby nie te historyczne dokonania, nie wiadomo, jaki byłby kształt granic Polski po wojnie, i jak wielu z nas, zesłańców, byłoby w stanie złożyć swoje kości w ojczystej ziemi. Po wykonaniu tych zadań, nie oczekując na nagrody czy słowa uznania, Związek rozwiązał się 11 sierpnia 1946 r., w niespełna 3 miesiące po zakończeniu akcji repatriacyjnej Polaków z Syberii; nikt później nie nawiązywał do tych dokonań ZPP, ani w PRL-u, ani tym bardziej w III RP. Szkoda, że tak łatwo zapominamy o sprawach dla Polaków i Polski nie bez znaczenia, zwłaszcza gdy dokonali ich niemili nam ludzie, o innej opcji politycznej.

\*

I ma koniec **refleksja**. Gdyby w Jałcie nie podzielono powojennej Europy i w Poczdamie tego nie potwierdzono, to nie byłoby wysiedlenia Niemców z ziem po wschodniej stronie Odry, i nie byłoby tych ziem w granicach powojennej Polski, bo Anglia z Francją zapomniały o gwarantowaniu polskich przedwojennych granic. Nie byłoby też Kresów Wschodnich w granicach powojennej Polski, bo ZSRR wrócił do swoich przedwojennych granic (tyle że sprzed wojny niemiecko-radzieckiej).



Byłaby więc Polska po II wojnie z przedwojennymi granicami na zachodzie, północy i południu, i z wojennymi granicami na wschodzie; tylko Gdańsk, być może, nie byłby już wolnym miastem, a w pełni należał do Polski. W takiej sytuacji nie byłoby w Polsce miejsca dla nas, sybiraków; pozostalibyśmy na Sybirze, bo nikt nie pomyślałby o nas – ani alianci, ani rząd londyński, a rządowi w Warszawie sprawilibyśmy tylko kłopot, jak obecnie repatrianci z Kazachstanu. I przyszłoby nam złożyć swoje kości na rozległych obszarach *необъятной страны*.

Gdyby więc nie kaprys Stalina, by Polskę usatysfakcjonować Ziemiami zabranymi pokonanym Niemcom (bo na pewno nie ruszyło go sumienie z powodu zabrania nam Kresów Wschodnich) i gdyby nie wyludnienie tych ziem, to mogłoby tak się stać, jak „gdybałem” wyżej.